

# Ostatni promień



GABRIELA ZAPOLSKA

## Ostatni promień

SZKIC

Ściemniało się już zupełnie, gdy Elszykowska weszła cicho, tłumiąc odgłos swych kroków, do przedpokoju.

Potarła o ścianę zapalkę, którą trzymała w ręku i błękitnawy ognik zabłysnął wśród ciemnej przestrzeni.

Ognik ten oświecił od dołu twarz kobiety i odbił jej słaby cień na ścianie pokrytej szarym, bezbarwnym obiciem.

Elszykowska zbliżyła się do kinkietu<sup>1</sup> wiszącego naprzeciw wieszadła<sup>2</sup> — lewą ręką uniosła w górę szkło, prawą wraz z zapalką zbliżyła do knota, po czym rzuciła dogasającą zapalkę na ziemię, zasadziła<sup>3</sup> szkło, poprawiła knot i teraz oparła się o ścianę tuż obok kinkietu, z którego biło na nią niepewne żółtawe światło zlej i taniej nafty.

Kobieta stała dłuższą chwilę z rękami zawieszonymi po obu stronach ciała — wysoka i smukła, a nawet chuda w swej zużytej bluzce z ciemnoczerwonej wełny, ściśniętej w pasie zrudziałą czarną wstążką. Brązowa spódnica zwieszała się z bioder sterczących fiszbinami<sup>4</sup> gorsetu, rękawy bluzki, zbyt ciasne, ścisnęły ramiona i napędzały do rąk krew, znaczącą się błękitnawymi pręgami na tle żółtej skóry.

Elszykowska trzymała głowę opartą o ścianę, głowę podłużną, niemal spiczastą z powodu skręconych na czubku włosów przepiętych lawową<sup>5</sup> strzałą. Na skroniach włosy te siwiały, wyciągając się silnie jak struny szarawe, przepojone pomadą<sup>6</sup> na śnieżnobiałej skórze obciążającej czaszkę. Pod rzadkimi, silnie do góry podniesionymi brwiami migotały oczy, spłowiałe, błękitne, jakby zdziwione zmarszczkami, które zwartą siatką oplatały je dokoła, ciągnąc się koronką delikatnych linii ku szyi długiej, smutnej, chudej, wyciągniętej w górę jak szyja ptaka szukającego wyjścia z sideł, w które wpadł wśród nocnych cieni.

Naprzeciw Elszykowskiej stało wieszadło, okrągłe, złożone z kołków świecących teraz migotliwymi punkcikami. Na tym wieszadle, jak nędzna szmata, zwieszało się ku ziemi zielonawe, zużyte palto męskie, z kieszeniami wypchanymi masą książek, broszur, zwitków zapisanego papieru. Podszewka tu i owdzie była rozpruta, żółtawe klaczki zbitej w masę waty białeły około pach, na ciemnym tle wytartej podszewki.

Palto owe miało w sobie coś z abnegacji<sup>7</sup> człowieka, który je nosił, widoczne było, iż okrywało dawno spadziste ramiona i wypukłe plecy swego właściciela. Miało w sobie smutną pracowitość i brak energii zupełny, tak rękawy jego zwieszały się bezsilnie, jakby ramiona wisielca.

Elszykowska wpatrzyła się w fałdy tej odzieży, wpiła się w nie wzrokiem i usta jej rozchyliły się powoli, jak kwiat zwiędły pod działaniem wrzącej wody. Oczy powlokły się mgłą, na szyi wystąpiły pręgi żył, cała twarz i postać kobiety przybrały wyraz sentymentalnej namiętności.

<sup>1</sup>kinkiet — świecznik a. lampa mocowane na ścianie. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>wieszadło (daw.) — wieszak, mebel z kołkami a. haczykami do zawieszania ubrań. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>zasadzić (daw.) — nasadzić, umieścić na czymś. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>fiszbin (z niem. *Fischbein*: *Fisch*: ryba, *Bein* daw.: kość) — usztywniający pręt w gorsecie lub staniku; daw. fiszbiny były wyrabiane z giętkiej, rogowej substancji tworzącej płyty na podniebieniu wielorybów, również zwanej *fiszbinem*. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>lawowy — wykonany z zakrzepłej lawy. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>pomada — tłusty, pachnący środek kosmetyczny używany dawniej do smarowania włosów dla nadania im połysku i miękkości. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>abnegacja — brak troski o swój stan, wygląd i korzyści. [przypis edytorski]



Jakieś rozrzewnienie prawie macierzyńskie mieszało się ze zmyslową chęcią posiadania. Widoczne było, iż sentymentalizm przeważał, pokrywając rodzajem welonu gorącą trawiącą zmysły, mimo to chwilami welon się stawał przezroczystym i w zdziwionych źrenicach, oprawnych siatką zmarszczek, błyskało coś na kształt fosforycznego, bladego światełka.

I nagle — Elszykowska oderwała się od ściany, rzuciła się ku wieszadłu i ujawszy kłapę paltota, tuliła doń swą twarz wychudłą zaczęła. Szeptala po cichu jakieś krótkie, urywane słowa — drżącymi palcami mięła tkaninę. Zamknęła powieki i o policzek ocierała wytarty wąski pasek aksamitu kołnierza...

Nagle drzwi się otwały i szybko do przedpokoju wpadła czternastoletnia dziewczyna, z warkoczami spuszczoneymi na trochę zgarbione plecy. Miała na sobie bluzkę z tego samego co i bluzka Elszykowskiej materiału, tylko w pasie krwawoczerwoną wstążkę i na biodrach piaskowojasną spódnicę. W ręku trzymała zwiniętą książkę nieoprawną<sup>8</sup>, z poszarpaną błękitną okładką.

Poskoczyła ku wieszadłu i tam spotkała się z matką, która cała okryta nagłym potem, drżąca, zmieszana, udawała, iż wkręca w słup źle trzymający się kolek, na którym wisiał okrągły kastorowy<sup>9</sup> kapelusz.

Dziewczyna zatrzymała się, rękę z książką cofnęła w tył i ukryła w fałdach spódnicy. Chwilę panowało milczenie i tylko słychać było monotony głos chłopięcy, który nagle spoza drzwi dolatywać zaczął.

Wreszcie Elszykowska wysunęła się z cienia.

— Czy Tadek nie skończył jeszcze lekcji?

Dziewczyna patrzyła bystro na matkę spod brwi dobrze nakreślonych i lekko ściągniętych.

— Przecież mama widzi palto Belszyńskiego, zresztą aż tu słychać, jak Tadek swoją grekę stęka!

Elszykowska powoli zaczęła odzyskiwać równowagę.

— Czego tu chcesz, Jadziu? — spytała niecierpliwie.

— Kucharka pyta, co będzie do herbaty.

Elszykowska zagryzła usta.

— Idę! — wyrzekła przyciszonym głosem.

I skierowała się ku drzwiom w głębi, otworzyła je i znikła, przykładając rękę do rozpalonych policzków, na które wystąpiły purpurowe plamy.

Jadzia patrzyła na oddalającą się matkę i gdy ta znikła poza zamkniętymi drzwiami, wzruszyła ramionami. Zagadkowy uśmiech przesunął się po jej wąskich wargach. Zbliżyła się szybko do wieszadła i w kieszeń paltota wsunęła trzymaną w ręku książkę. Broszura uparcie połamana nie chciała wejść w zbyt ciasny otwór odzieży. Jadzia rozwinęła ją, wyprostowała i na kolanie zwinęła znów ciasniej, wygładzając zwinięte rogi czerwonej, chudej ręką. Warkocze spadły jej na piersi i wiły się jak złote węże na krwawym tle stanika.

Na żółtej okładce zaczęły się litery:

„*Also sprach der Zarathustra*”<sup>10</sup>.

A nieco niżej:

„Fryderyk Nietzsche”.

Nareszcie Jadzia zdołała wsunąć broszurę w kieszeń paltota. Odsunęła się od wieszadła. W tej samej chwili drzwi się otworzyły i stanął w nich młody człowiek, niski, z ciemną brodą okalającą twarz, o okrągłym, a mimo to wychudłym owalu. W twarzy tej czoło miało dziwny charakter uporu, lecz zarazem jakiejś nerwowej słabości; włosy od linii zarostu twarde i szorstkie falowały dalej miękko, niepewnie, jakby na wolę losu rzucone. Reszta rysów grubych, chłopskich, okrytych ciemną skórą, tonęła prawie w masie tych czarnych włosów, kryjących usta, które zaledwie bladą linijką przebłyskiwały wśród zarośli brody. Zniszczona kurtka zwieszała się z ramion, przybierając te same fałdy i kierunek,

<sup>8</sup>nieoprawna — dziś: nieoprawiona. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>kastorowy (daw., z łac: *castor*: bóbr) — filcowy; *kastor*: gęsty materiał z sierści bobrowej używany do wyrobu kapeluszy. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>*Also sprach der Zarathustra* — właśc.: *Also sprach Zarathustra (Tako rzecze Zaratustra)* (1883–85), filozoficzna powieść niem. filozofa i pisarza Friedricha Nietzschego (1844–1900), najbardziej znane jego dzieło, zawierające główne idee jego światopoglądu: śmierć Boga, wolę mocy, koncepcję nadczłowieka. [przypis edytorski]

jakie miało palto zawieszona na szaragach<sup>11</sup>. Na kamizelce połyskiwał nikłowy łańcuszek z małym srebrnym medalionikiem.

Ujrawszy go, Jadzia cofnęła się w głąb przedpokoju i na jego niedbały, trochę nieśmiały ukłon nie odpowiedziała nawet skinieniem głowy. Nie odchodziła wszakże, zaciśnięwszy usta i schowawszy ręce w fałdy spódnicy.

Belszyński tymczasem zdjął palto i zaczął je powoli wciągać na ramiona. Jadzia spod opuszczonych powiek śledziła jego ruchy, sama nieruchoma, oparta o ścianę, przybierając tę samą pozę, jaką miała przed chwilą jej matka, gdy stała wpatrzona w owo zielone palto, obecnie ożywiające się i wypełniające postacią studenta.

Belszyński ujął w rękę kapelusz, pomacał kieszenie, jakby chcąc się przekonać, czy wszystkie broszury i książki są na swoim miejscu, i chrząknął silnie, jakby mu nagle zaschło w gardle.

— Już idę! — wyrzekł bardzo niskim i dźwięcznym głosem. — Może pani zechce mamy o bilet poprosić!

Jadzia zmrużyła oczy, ściągnęła brwi, krótką, jedną sekundę wpiła się źrenicami w twarz mężczyzny i wreszcie otworzyła drzwi prowadzące do dalszych pokojów.

— Mamo! — zawołała. — Korepetytor odchodzi!

Natychmiast z ciemni wynurzyła się postać Elszykowskiej, tak jakby ona sama stała pode drzwiami, oczekując na tę chwilę.

Nie wchodząc do przedpokoju, wyciągnęła rękę.

— Proszę pana... oto bilet! — wyrzekła cichym głosem.

Belszyński ciężkim krokiem podszedł ku niej.

— Dziękuję!

Wziął kartkę, na której grubymi cyframi naznaczona była rzymska dwunastka, zawałał się chwilę, jakby chciał coś powiedzieć, o coś prosić... jakby czekał na jakieś słowa z ust gospodyni domu, lecz ona, na wpół ukryta w cieniu, stała milcząca i tylko w ciemnej głębi majaczyła niewyraźnie plama żółtawa jej twarzy i jednej ręki, którą Elszykowska trzymała teraz kurczowo u szyi zaciśniętą.

Wobec tych dwóch milczących postaci kobiecych, których źrenice czuł na sobie, Belszyński cofnął się i odsunawszy rygiel, wyszedł, wpuszczając otwarciem drzwi wchodowych<sup>12</sup> prąd zimnego powietrza i smugę światła gazu, napelniającego mleczną białością klamkę wschodową<sup>13</sup>.

\*

Elszykowska weszła na chwilę do sypialnego pokoju.

Była to podłużna szuflada, oklejona ciemnoszafirowym papierem.

Pod ścianami stały dwa łóżka palisandrowe<sup>14</sup>, porządnie zasłane i okryte kapami szydełkowej roboty.

Pomiędzy nimi komoda, na niej toaletka, dwie świece oprawne w srebrne lichtarze. Przy oknie mały stolicek, na nim koszyczek z rozpoczętą szydełkową robotą.

Nigdzie ani śladu kurzu, wszystko czysto sprzątnięte, ustawione, na umywalni szczoteczki ułożone metodycznie w głębi porcelanowego pudełka.

Na stoliczku lampka niewielka, przyćmiona papierowym abażurem.

Elszykowska zbliżyła się do komody i oparłszy się łokciami o blat, ukryła w dłoniach głowę.

Tak! kochała się w Belszyńskim i to od dwóch lat, od chwili, gdy ten brzydki i chmurny student wszedł na próg ich domu.

Kochała go w tajemnicy najwyższej i długo nawet przed sobą samą nie chciała się przyznać do tej miłości dla korepetytora swego syna, miłości, która czyniła ją śmieszna, nędzną, głupią, a mimo to wżarła się już tak w jej istotę, że stanowiła część jej samej.

Miłość niespełniona

<sup>11</sup>szaragi — rodzaj wieszaka na ubrania w postaci stojącej ramy z haczykami a. kołkami. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>wchodowy (daw.) — dziś popr.: wejściowy. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>wschodowy (daw.) — dziś: schodowy, odnoszący się do schodów. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>palisandrowy — wykonany z palisandru, bardzo ciężkiego i twardego drewna, używanego głównie do wykonywania mebli i przedmiotów artystycznych, instrumentów muzycznych. [przypis edytorski]

Belszyński zdawał się nie spostrzegać nawet tej gorącej, sentymentalnej namiętności, jaką wzbudził w tej czterdziestoletniej kobiecie, chudej, zmęczonej, siwiejącej i traktującej go z jakąś dziwną, według niego „niegrzeczną”, lękliwością. Kilkakrotnie przy podawaniu mu biletu lub wypłacaniu pieniędzy palce ich się zetknęły. Elszykowska natychmiast cofała swoje jakby za dotknięciem rozpalonego żelaza. Uważał ją jak „matkę swojego ucznia” — nic więcej. Była dla niego tym samym, czym to wieszadło, na którego kołku zawieszal swe palto od lat dwóch. W ogóle było to usposobienie zimne. Kobieta

Mizoginia

była dlań niższym organizmem — przechodził mimo dziewczycy, często mając na ustach sprośne żarty i słowa, lecz zbywając wzruszeniem ramion to, co namiętnością płciową zwać się mogło. Kobieta była dlań potrzebna do zachowania gatunku — kiedyś, później, skoro będzie mieć ku temu środki, weźmie sobie może towarzyszkę, z którą spełni akt altruizmem poddyktowany.

Miłość niespełniona

Tymczasem Elszykowska kochała go coraz głębiej, coraz namiętniej, mając w tej pa-

sji ostatni, jasny promień nędznego życia żony urzędnika, który po mozolnej pracy lat czterdziestu doszedł do tysiąca sześciuset rubli rocznej pensji i chronicznej choroby, na którą nawet specyfiki ogłaszane na czwartej stronie pism pomoc nie mogły.

W pierwszych latach małżeństwa Elszykowska walczyła z niedostatkiem, z ukrytą i łataną biedą — i powoli pod wpływem tej ciągłej walki o możliwość kupienia funta<sup>15</sup> wołowiny na rosół lub serdelka do herbaty straciła najzupełniej jakiegokolwiek namiętne porywy. Nie kochała nigdy nikogo, trochę męża, trochę dzieci — i doszła tak w tym chłodzie i przyzwoitej moralności do lat czterdziestu — gdy nagle serce jej zatrzepotało jak ptak długo więziony w zbyt ciasnej i ciemnej klatce. Ten młody chłopiec od pierwszej chwili sprawił na niej piorunujące wrażenie i po pierwszej jego bytności w ich domu zdawało się jej, że dostała obłądu. Gdy nagle wymówiono imię nowego korepetytora, twarz jej oblewała się krwawym rumieńcem, jak twarz piętnastoletniej dziewczyny. I odtąd jedyną troską jej życia było ukrycie tego uczucia, które w tajemnicy wzrosło do olbrzymiej potęgi szalonej namiętności. Chwilami Elszykowską ogarniała żądza namiętnych pieszczot i ona, tak zwykle spokojna i martwa, roila sceny przechodzące zakreślone wyobraźni granice. To znów przeważał sentymentalizm i po kryzysie zmysłowego nastroju następował nerwowy smutek beznadziejnej uczuciowości.

Mimo to nigdy najlżejszy cień kokieterii i uczynienia wrażenia nie przesunął się przez jej postępowanie. Czesła ciągle po chińsku włosy, nie zasmarowując farbą siwiejących nici. Jak spłoszona sarna przemykała się przez pokój, w którym Belszyński uczył jej syna. Często stawała pode drzwiami i wsłuchiwała się z rozkoszą w niski, basowy głos studenta. Zamykała oczy i zaciskała ręce koło szyi, do której krew napływała gorącą strugą. Często spod przymkniętych powiek spływały łzy, drżały na nędznych rzęsach i spadały na stanik okrywający zapadłą pierś, jak całun rozkładające się części trupa.

Było to dla niej cierpienie, lecz zarazem i rozkosz wielka, a dawniej dla niej nieznaną. Zdawało się jej, że jesień jej życia ozłaca gorąca struga słońca. Przed poznaniem Belszyńskiego miała przekonanie, iż jest już bardzo starą i zgrzybiałą kobietą, lecz gdy zbudziło się w niej serce, odmłodziła moralnie i miała złudzenie, iż teraz dopiero zaczyna się jej życie, jakkolwiek nadzieją wzajemności nie łudziła się ani na chwilę. Wystarczył jej widok studenta, dźwięk jego głosu, ta krótka chwila, w której podawała mu bilet, i przeświadczenie, że go zobaczy jutro, pojutrze i w dniu następnym.

Resztę uczucia koncentrowała w marzeniu, w snach gorączkowych, namiętnych, to znów w potoku łez, który obmywał jej twarz zmarszczkami pooraną.

\*

— Tatko!

— Na szczęście! Myślałam, że się już nie doczekamy!...

Jadwisia złożyła książkę, nad którą siedziała zgarbiona tuż obok gotującego się samowaru.

W przedpokoju Elszykowski zdejmował futro, kalosze, wycierał nos i pluł w chustkę, chrząkając przy tym półgłosem.

<sup>15</sup> *fiunt* — daw. jednostka wagi, wynosząca 0,4–0,5 kg. [przypis edytorski]

Wreszcie otworzył drzwi i wszedł do jadalnego pokoju.

— Jak się macie, dzieci! — wyrzekł nosowym głosem. — Gdzież mama?... Mamo! Mamo!...

Podszedł do drzwi sypialni, zacierając ręce, i powtórzył kilkakrotnie:

— Mamo! Mamo!...

W sypialni dały się słyszeć szybkie kroki i przez drzwi uchylone wsunęła się Elszykowska, trzymając chustkę przy zaczerwienionej twarzy.

— Cóż to? Znów zęby? — zapytał Elszykowski i nie czekając odpowiedzi, posunął się ku stołowi.

— Należcie mi herbaty... Psie zimno... Zmarzłem, aż mi ręce posztywniały.

Elszykowska zbliżyła się do stołu i wzięwszy czajnik w rękę, nalewała esencję do po-  
ustawianych na obrusie filiżanek.

Unikała pełnego światła i kryła się w cieniu poza samowarem, zastawiając się owym bólem zębów, który wymyśliła sobie jako ochronę przed zbytnią gadatliwością męża lub dzieci, a zarazem jako usprawiedliwienie zbyt często teraz zażawionych i zaczerwienionych oczów.

Lecz Elszykowski nie patrzył na żonę, wziął w rękę filiżankę i podniósł ją ku górze pod lampę, przyglądał się z zadowoleniem przeświecającej przez porcelanę herbacie....

— Ładne filiżanki — przemówił z uśmiechem — cieszę się, że je kupiłem, niedrogie, porcelana cienka, pasek złożony dystyngowany...

Poprawił się na krześle i po chleb nasmarowany masłem sięgnął.

— Zresztą, teraz w przyzwoitych domach nikt herbaty w szklankach nie pije!...

Nikt mu nie odpowiedział, codziennie bowiem Elszykowski powtarzał to samo, codziennie przyglądał się porcelanie filiżanek i wieszował sobie ich nabytku.

Jadzia i Tadzio, przyzwyczajeni do maniactw ojca, pili herbatę i jedli gorące serdelki.

Elszykowski sięgnął po leżący na stole „Kurierek”.

— Dlaczego mama zostawia gazety na stole? — zapytał z wymówką, zwracając się w stronę żony. — Jadzia stara się czytać fejetony<sup>16</sup>, a teraz Bóg wie co w nich drukują i dobrze wychowane panienki nie powinny czytać takich rzeczy!

Elszykowska nie odpowiedziała na ten zarzut męża, usiadła poza samowarem i oparła twarz na dłoni. W jasnym świetle wiszącej lampy wydawała się jeszcze starszą, nędzniejszą i bardziej pomarszczoną.

Elszykowski rozwinął „Kuriera” i czytać zaczął. Tymczasem Tadek z drugiej strony starał się przeczytać ogłoszenia. Jadwisia obojętnie spoglądała na kłęby pary bijące z samowara.

Nagle Tadek łamiącym się głosem podrostka zawołał:

— Proszę taty! trzeba podać do „Kuriera”!

Elszykowski, zdziwiony, spoza drukowanego arkusza się wysunął.

— Dlaczego?

— Bo ten Belszyński nie może już dawać korepetycji!

— Dlaczego?

— Nietęgi jest w matematyce; po herbacie będę musiał pójść do kolegi, aby z nim zadanie przerobić...

Elszykowski podniósł znów w górę filiżankę i palcem po drugiej stronie ścianki wodził.

— To się go odprawi — zakonkludował spokojnie, stawiając filiżankę na spodeczku.

— Ja mu dziś powiedziałem, że wyjeżdżamy na tydzień na wieś, do Grodziska — ciągnął dalej Tadek — niby do babci i że napiszemy do niego, kiedy powrócimy. Niby zawsze... tak grzeczniej. Prawda?... Co?... Prawda, tatkę?...

Elszykowski kiwnął głową. Naturalnie, grzeczniej i przyzwoiciej, choć znowu nie ma potrzeby robić tyle ceremonii względem korepetytora...

Zatroszczył się tylko o cyfrę<sup>17</sup> lekcji, jakże te dziesięć rubli rozłożyć. Lecz Tadek uspokoił go natychmiast.

— Dziś dała mu mama dwunasty bilet. Prawda, mamo?

<sup>16</sup>fejetony — popr.: felietony. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>cyfra — tu: liczba. [przypis edytorski]

Elszykowska siedziała nieruchoma, na pozór niezmieniona, tylko cała nagle zlodowaciała pod wpływem tego ciosu, który druzgotał jej serce. Trzymała wciąż chustkę przy ustach i zęby jej dygotać zaczęły jak w febrze. Przed oczyma mąż, syn, kłęby pary — wirowały i rozplywały się jak nieuchwytny cień.

Elszykowski, nie otrzymawszy odpowiedzi, zwrócił się znów do syna.

— Ha... to napisze się ogłoszenie, ty radź sobie tymczasem, odpisując od kolegów, a temu panu pośle się jutro przez posłańca pieniądze. A teraz dajcie mi święty spokój i siedźcie cicho, niech „Kuriera” dokończę.

Wszyscy zapadli znów w martwe milczenie, tylko jeden Tadek pił herbatę i opychał się chlebem z masłem i serdelkami.

Jadwisia nagle jeść przestała, pobladła i oczy utkwiała w deseń obrusa. Machinalnie gniotła chleb i rozrzucała dokoła kruszyny. Jedna z nich wpadła w filiżankę Tadka. Chłopak brutalnie odepchnął łokieć siostry i zaczął na spodek wylewać herbatę. Lecz Jadwisia, jakby tylko oczekując sposobu ulżenia strasznej nerwowej walce, jaką w sobie toczyła, porwała silnie, okrutnie niemal, brata za ucho.

— Smarkaczu!... — szepnęła przez zaciśnięte zęby.

Tadek ryknął płaczem.

— Mamo! Jadzia się bije! — wrzeszczał, otwierając szeroko usta i podskakując na krześle.

\*

Noc.

Zwrócona twarzą do ściany, w rurkowanym czepku i długiej nocnej koszuli leży Elszykowska, podobna więcej do trupa niż żyjącej istoty.

Ta jedna godzina uczyniła ją zgrzybiałą staruszką, zmieniła jej rysy, pogrzebała w tym szmacie ciała ją samą, jej serce, jej duszę, jej istotę życia.

Nigdy przez umysł jej nie przesunęła się myśl, iż Belszyński może przestać być ko-repetytorem jej syna. Było to przecież bardzo logiczne, ale ona, w chwili gdy kochać zaczęła, wykluczyła logikę ze swego programu umysłowego. I nagle spadł na nią ten grom, pociągając ją w ciemność po chwili słonecznego blasku. Czuła teraz, iż to, co ją wiązało z Belszyńskim, nie było jedynie zadowoloną potrzebą serdecznego uczucia, lecz że razem z nim jednoczył się jeszcze jakiś prąd świeży, coś doskonalszego nad to, co ją otaczało, czego nie rozumiała, jak gąsienica w pochwie zamknięta, lecz co przeczuwała jak ta, która była może już kimś na wzór Belszyńskiego, kimś, co w górę szedł ku szerszym gościńcom, ozłoconym blaskiem idei.

Lecz gdyby ją kto zapytał, co jest idea<sup>18</sup> lub co stanowi wytycznię owych szerokich gościńców — nie umiałaby na nie znaleźć odpowiedzi. Tak samo nie umiałaby określić rodzaju bólu, jaki szarpał jej całą istotę.

Wiedziała tylko, że cierpiała i że cierpienie to nie miało się skończyć nigdy.

I nagle łkanie spazmatyczne podniosło jej pierś i wśród ciszy nocnej rozległo się jak jęk dławionej ofiary.

Z naprzeciw stojącego łóżka podniósł się na wpół Elszykowski zaspany i zmrużonymi oczyma starał się w świetle lampy dojrzeć twarz żony.

Ona, przerażona tym wybuchem rozpacz, leżała teraz cicho, mnąc w palcach prześcieradło.

— Cóż ci to?... Znów zęby?...

Nie było odpowiedzi.

Elszykowski wzruszył ramionami.

— Mogłabyś też już raz pójść do dentysty i kazać sobie powyrywać spróchniałe ko-  
rzenie. Przestałabyś kawęczyć<sup>19</sup>... To sensu nie ma. Mnie tylko po nocy budzisz i sama się mizerujesz<sup>20</sup>!

Ułożył się znów do snu, zbił mocno poduszkę, wetknął sobie pod głowę jaśka i naciągając na uszy koldrę, dodał:

<sup>18</sup>co jest idea — tu: co to jest za idea. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>kawęczyć — narzekać na dolegliwości; niedomagać. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>mizerować (z łac. *miser*: nieszczęśliwy, biedny) — czynić mizernym, wycieńczać. [przypis edytorski]

— A jak ci o to chodzi, to możesz sobie kazać kilka zębów wstawić. Czytałem, że tam gdzieś na placu Zamkowym wstawiają po rublu kopiejek pięćdziesiąt od sztuki. Idź tylko, ja zapłacę!...

Za chwilę chrapał doniośle.

*Châteauneuf, 28 czerwca 1894 r.*

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/zapolska-ostatni-promien>

Tekst opracowany na podstawie: Gabriela Zapolska, *Dzieła wybrane*, tom XII, Wydawnictwo Literackie, Kraków.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska. Utwór powstał w ramach "Planu współpracy z Polonią i Polakami za granicą w 2014 roku" realizowanego za pośrednictwem MSZ w roku 2014. Zezwala się na dowolne wykorzystanie utworu, pod warunkiem zachowania ww. informacji, w tym informacji o stosowanej licencji, o posiadaczach praw oraz o "Planie współpracy z Polonią i Polakami za granicą w 2014 r."

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aneta Rawska, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-1076-1

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.